

INDIANIE AMERYKI PÓŁNOCNEJ

– dyskryminacja rasowa czy dialog?

MAREK MACIOŁEK

Wyobraź sobie, że żyjesz na wielkiej farmie i pewnego dnia statek kosmiczny ląduje na twoim trawniku. Wychodzi z niego kilka dziwnie ubranych osób. Z wyglądu są podobne do ciebie i wydają się przyjaźnie usposobione, więc po chwili wahania zapraszasz je do swego domu, dajesz im jeść i miejsce do spania. Kiedy nauczą się mówić twoim językiem, powiedzą ci, że na ich starej ojczyściej planecie nie jest dobrze: brakuje jedzenia, mieszkańcy traktują się źle. Powiedzą, że chcą tylko trochę miejsca, gdzie można żyć i założyć rodzinę.

– Zaraz, zaraz – mówisz – przecież mam wolny pokój. Możecie tu zostać.

Wszystko układa się dobrze, aż któregoś dnia wyjrzysz przez okno i zobaczysz całą masę statków kosmicznych lądujących obok twego

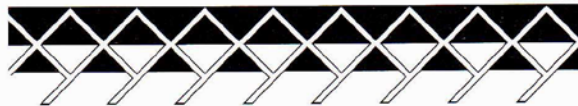
domu. I kiedy ty zastanawiasz się, jak posadzić nowych gości przy stole z obiadem, jeden z przybyszów, noszący na sobie coś w rodzaju munduru, podchodzi do ciebie i wręcza ci jakiś papier.

– Co to jest? – pytasz.

– To mój akt własności tego domu i ziemi – odpowiada obcy. – Musisz odejść.

– Chwileczkę – protestujesz – ja nie sprzedawałem domu...

– Och, ja wcale nie kupiłem go od ciebie – mówi obcy. – Kupiłem go na swej planecie. Ale nie przejmuj się, jeśli chcesz tu zostać, możesz zamieszkać w kurniku. Czyszn nie będzie zbyt wysoki.¹⁾



Ta wzruszająca opowieść **Josepha Bruchaca**, poety i gawędziarza z indiańskiego ludu Abenaków, ilustruje genezę i skutki wydarzenia, które powszechnie nazywamy „odkryciem Ameryki” albo spotkaniem dwóch światów. Krzysztof Kolumb jest, oczywiście, tylko symbolem ekspansywnej kultury i cywilizacji Europy, przekonanej o swej wyższości działającej z nadania królewskiego i za zgodą władzy duchownej. Wyprawa przez ocean nieuchronnie nosiła charakter misji. Relacje Kolumba i jego następców z pierwszych spotkań z amerykańskimi tubylcami wytworzyły kilka stereotypów, poprzez które Europejczycy, a później Amerykanie spoglądali na tzw. kwestię indiańską.

Z jednej strony w Indianach widziano istoty szczęśliwe i bardziej wartościowe od Europejczyków, mimo iż obywateli się bez organizacji państwowej, nauki oświeconej czy znajomości chrześcijaństwa. *Tak łagodni, tak spokojni są ci ludzie – pisał Kolumb do króla i królowej Hiszpanii – że przysięgam Waszemu Majestatowi, iż nie ma na świecie lepszego narodu. Kochają swoich sąsiadów jak samych siebie, mowa ich jest słodka, delikatna i towarzyszy jej uśmiech, i choć prawdą jest, że chodzą nadzy, maniery ich są stosowne i pełne godności*². Tak oto powstał mit „szlachetnego dzikusa”.

Przeciwnicy tego mitu widzieli w tubylcach Nowego Świata stworzenia (nie ludzi! – dopiero papież **Paweł III** ogłosił w bulli *Sublimis Deus* z 1537 roku, że Indianie są ludźmi) tak odrażające i barbarzyńskie, iż w praktyce niewiele różniły się od zwierząt. Indianie byli po prostu jednym z elementów krajobrazu, częścią jego egzotyki, stąd też niekiedy porównywano ich do dwunożnych papug (ze względu na używanie ptasich piór do ozdób) czy też nazywano krwiożerczymi tygrysami i wściekłymi psami. *Również w Polsce – pisał Janusz Tazbir – traktowano ich początkowo jak krnąbrnych dzikusów, usiłujących przeszkodzić konkwistadorom w opanowaniu kraju i wydobywaniu kruszców (złota – przyp. M. M.). (...) W opinii staropolskiej dość rzadko jednak występowało jednoznaczne potępienie pierwotnych mieszkańców Ameryki*³.

Trzeci wreszcie sąd o tubylcach Ameryki ukształtował się pod wpływem prac misjonarzy, którzy przyznawali Indianom szereg zalet serca i umysłu, ale równocześnie zwracali uwagę na panujący wśród nich kanibalizm, składanie krwawych ofiar bogom, okrucieństwo i skłonność do nadużyć seksualnych. Wyrażano przy tym nadzieję, że barbarzyńców tych uratuje katolicyzm, niosąc ze sobą ucywilizowanie Indian oraz radykalną poprawę ich obyczajów.

Z kolei biali w oczach Indian wyglądali przede wszystkim śmiesznie, nieporadnie, w ciężkiej zbroi i z tymi długimi nożami (szablami), które nie nadawały się do polowania. Indianie zastanawiali się, co to są za ludzie, którzy mają narzędzia tylko do zabijania, a nie do zdobywania pożywienia. Powszechnie wiadomo, że tylko dzięki Indianom osadnicy ze statku „Mayflower” przeżyli swą pierwszą zimę w Ameryce. Na pamiątkę tego ustanowiono później Dzień Dziękczynienia, obchodzony w USA co roku w listopadzie. Większość białych nosiła brody, co dla Indian było przejawem niechlujstwa i brakiem higieny osobistej. Po kilkumiesięcznym rejsie przez ocean w małych zatęchłych kajutach pierwsi biali niewiadownie cuchnęli, wzbudzając odrazę wśród tubylców.

Pierwsze spotkania między przedstawicielami dwóch różnych kultur i światopoglądów zawsze są trudne. Często decydują one o charakterze przyszłych kontaktów. Stosunek białych do

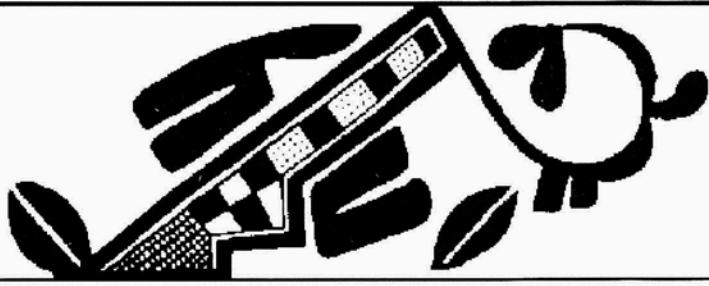


Indian w Ameryce zmieniał się, zależnie od czasu i miejsca spotkań. Na początku kolonizacji, po krótkim okresie dobrosąsiedztwa, tubylcy zaczęli przeszkadzać napływającym nieustannie osadnikom, którzy przede wszystkim pragnęli indiańskiej ziemi. Zmuszani do opuszczania swych wiosek Indianie chwytały za broń. Stosunki między nacjami podporządkowywano wtedy prawom wojny, w której wszystkie chwytły były dozwolone i to po obu stronach. Wszyscy dopuszczali się aktów okrucieństwa i barbarzyństwa. Nie ma wojny humanitarnej. Nieprawdą jest powtarzanie sądów, jakoby Indianie z góry byli skazani na przegraną. Niejednokrotnie byli równorzędnymi przeciwnikami. Przegrywali głównie dlatego, że nie mieli tak dużego zaplecza ekonomicznego i demograficznego jak biali. Byli mniej liczni, a w uzbrojeniu zawsze o krok ustępowali białym, którzy pierwsi korzystali z nowych wynalazków rusznikarskich, zanim dotarły one do Indian.

Schemat ten powielany był przez całą historię podboju Ameryki. Jednak im bardziej linia frontu, linia Pogranicza przesuwawała się na zachód, tym wyraźniej zmieniał się stosunek do tubylców na wschodzie. Kiedy nie zagrażali już oni bezpośrednio postępowi kolonizacji, mieszkańcy wielkich miast zaczęli darzyć ich sympatią i współczuciem. W drugiej połowie XVIII wieku i przez cały wiek XIX wielu przywódców indiańskich udawało się do Waszyngtonu szukać poparcia u swych białych przyjaciół. Co wybitniejsze jednostki wywierały nawet wpływ na ówczesną politykę rządu wobec poszczególnych plemion indiańskich.

Niedawno historyk **Gregory Schaaf**, profesor Studiów Etnicznych Uniwersytetu stanu Minnesota, prowadząc badania nad genezą amerykańskiej demokracji i konstytucji doszedł do kilku rewelacyjnych odkryć. Okazało się mianowicie, że Ojcowie Założyciele szeroko wykorzystali osiągnięcia **Konfederacji Sześciu Narodów Irokeskich** i ich konstytucji – **Wielkiego Prawa Pokoju**. Analiza korespondencji **George’a Morgana** – agenta do spraw Indian – z **Jerzym Waszyngtonem**, **Johnem Hanckokiem** i innymi osobistościami tego okresu ujawniła pokojowe wysiłki Irokezów w obronie rewolucji. Traktat zawarty w 1776 roku przez młode Stany Zjednoczone z narodami indiańskimi uchronił kolonistów przed niechcibym zniszczeniem ze strony połączonych sił brytyjsko-indiańskich. W zamian koloniści złamali traktat, a później nawet zaprzeczali, że on w ogóle istnieje.

Przez pięć wieków nic się właściwie w podejściu do Indian nie zmieniło, choć amerykańscy tubylcy mówią już po angielsku i w większości zostali ochrzczeni. Kongres USA dopiero w 1924 roku przyznał Indianom pełne prawa obywatelskie (jedynie weterani I wojny światowej, walczący w szeregach armii amerykańskiej, mogli otrzymać je w 1919), ale w praktyce nadal stosuje się wobec nich podwójną spr-



wiedliwość. Aktor indiański – **Rodney A. Grant** (Omaha), znany m.in. z filmów „Tańczący z wilkami” i „Syn Gwiazdy Porannej”, powiedział: *Ludzie ciągle gapią się na mnie i to wcale nie dlatego, że pamiętają mnie z filmu. Myślą, że chcę coś ukraść. Kiedy wjeżdżam samochodem do nowego miasta, policja ma mnie na oku. Kiedyś zatrzymali mnie, bo miałem zakurzoną rejestrację. Nawet gdybym zdobył Oscara i tak bym musiał stawić czoła uprzedzonym – tylko dlatego, że jestem Indianinem.*

Dziś socjologia i psychologia społeczna dostrzega w stereotypie przekonanie o klasach jednostek, grup lub przedmiotów, powzięte z góry, to znaczy wynikające nie z aktualnej oceny każdego zjawiska, lecz ze zrutynizowanych nawyków, sądów i oczekiwań.⁴⁾ Przy zderzeniu kultury europejskiej i euro-amerykańskiej z kulturami tubylczymi musiało dojść ponadto do powstania stereotypu etnicznego, który – zdaniem **G. W. Allporta** – często bywa traktowany na równi z uprzedzeniem etnicznym, to jest antypatią opartą na błędnym i nieelastycznym uogólnieniu, która może być odczuwana, wyrażana lub kierowana ku grupie jako całości czy ku jednostce dlatego, że jest członkiem tej grupy.⁵⁾

Czy można zatem powiedzieć, że u schyłku XX wieku w Ameryce, w dobie *political correctness* istnieje rasizm wobec Indian? Wydaje się, że w oficjalnej polityce rządu, Kongresu czy Biura do Spraw Indian – już nie. Świadczy o tym szereg posunięć prezydenta **Billa Clintona**, ton jego wypowiedzi na tematy indiańskie, chęć zrozumienia i porozumienia z duchowymi przywódcami Indian wokół kwestii odbudowania tradycyjnych wartości rodziny wśród tubylców, poszanowania starszych itp. Dyskryminacja rasowa będąca wykładnią oficjalnie przyjętej polityki rządowej istniała jeszcze do niedawna. W latach pięćdziesiątych zainicjowano program przesiedleń młodzieży indiańskiej z rezerwatów do wielkich miast, aby w ten sposób przyspieszyć asymilację. W 1952 roku zgłoszono nawet projekt ustawy zezwalającej szeryfowi federalnemu na zabicie Indianina stawiającego opór. W latach siedemdziesiątych z kolei rozpoczęto szereg prac legislacyjnych, mających na celu likwidację rezerwatów (podlegających pod prawo federalne, nie stanowe) i wtopienie się tubylców w wielokulturowe społeczeństwo amerykańskie. Zaznaczyć trzeba, że oba te programy zakończyły się fiaskiem, gdyż pierwszy przyczynił się do rozbudzenia świadomości etnicznej młodzieży indiańskiej, która zaczęła kształcić się w państwowych szkołach, a wspólny język angielski umożliwił powstanie ruchu panindiańskiego na skalę całego kraju. Podobnie z rezerwatami – w chwili zagrożenia stały się symbolem indiańskiej kultury i przetrwania. Wielu nauczycieli, lekarzy, architektów czy przemysłowców pochodzenia indiańskiego wróciło do rezerwatów, aby tam podjąć „pracę u podstaw” nad poprawą losu swego ludu.



Ogromną rolę w tym swoistym indiańskim odrodzeniu odegrały tubylcze organizacje, takie jak **Ruch Indian Amerykańskich (AIM)**, które kilkoma spektakularnymi przedsięwzięciami (np. marsz Szlakiem Złamanych Trak-

tatów z Kalifornii do Waszyngtonu tuż przed wyborami prezydenckimi 1972, okupacja osiedla Wounded Knee w 1973) zwróciły uwagę opinii publicznej na opłakaną sytuację tubylców. Cena, jaką zapłacili za to Indianie, była ogromna. Rząd rozpoczął regularną wojnę z członkami AIM. W samym tylko rezerwacie Siuksów **Pine Ridge**, gdzie sytuacja była najgorsza (największe bezrobocie i głód), zginęło w latach 1973–76 co najmniej 61 Indian. Nigdy nie wszczęto śledztwa w ich sprawie. Na przykład bestialsko zamordowano, strzałem w tył głowy, działaczkę **Micmak, Annę Mae Aquash** i – aby zatrzeć ślady, obcięto jej dłonie. Za spalenie amerykańskiej flagi przed Kapitołem biali rasiści podpalili dom **Johna Trudella**, w którym spłonęła żywcem jego żona i czworo dzieci.

Ofiary te nie poszły jednak na marne. Z Indianami sympatyzowali znani działacze społeczni, polityczni i artyści, np. **Angela Davis, Jane Fonda, Marlon Brando**. W latach osiemdziesiątych zaczęły powstawać indiańskie szkoły i ośrodki tubylczej kultury. Na większości uniwersytetów amerykańskich prowadzi się kierunek: Studia Tubylcze. Powstały indiańskie przedsiębiorstwa, drukarnie, a także kasyna i salony bingo, korzystające z przywilejów prawa federalnego obowiązującego w rezerwach, które zwalnia je z płacenia podatków. W 1989 roku założono **Narodowe Muzeum Amerykańskich Indian** w Nowym Jorku, zarządzane w całości przez Indian i organizujące szereg inicjatyw kulturalnych i edukacyjnych.

Obecna sytuacja współczesnych Indian nie jest jednak tak sielankowa, jak mogłoby się wydawać. Pozostaje ogromna niechęć wśród zwykłych obywateli i tu chyba dotykamy istoty problemu rasizmu i nietolerancji między ludźmi. Oczywiście, to urzędy państwowe nadają jakość polityce lansowanej przez rząd, ale nikogo nie zmuszą do szanowania sąsiadów i mówienia im „dzień dobry”. Niechęć wobec Indian sięga czasem bardzo głęboko, aż do czasów historycznych, do krwawych wojen na Pograniczu. Ofiarą tej niechęci jest m.in. **Leonard Peltier**, Indianin Chippewa, który od ponad 20 lat odbywa karę dwukrotnego dożywocia za domniemane zabicie dwóch agentów FBI w 1976 roku. Choć rzekome przestępstwo popełnił w Dakocie Południowej, sądzono go w Dakocie Północnej, uchodzącej za najbardziej rasistowski stan w USA. Ponadto ława przysięgłych składała się w całości z białych.

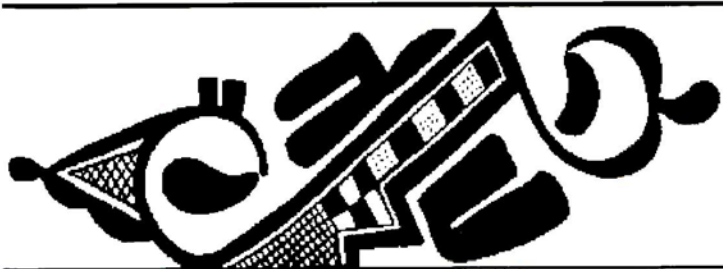


Leonard Peltier za kratami.

Poza podwójnym wymiarem sprawiedliwości Indianie doświadczają też innych form rasizmu: religijnego (np. tubylczym więźniom odmawia się prawa do własnej postugi duchowej), naukowego (przymusowa sterylizacja kobiet indiańskich w latach siedemdziesiątych, kradzież myśli twórczej), ekologicznego (kradzież genów) czy też sportowego (wiele zespołów sportowych nosi nazwy obraźliwe dla Indian, np. *Redskins, Braves, Hawks, Chiefs* itp.). Popularność ruchów new age spowodowała także profanowanie przez tzw. plastikowych szamanów tubylczych rekwizytów (np. fajka) i obrzędów (*szafaś potu*), odprawianych w celach komercyjnych.

Stereotypy bardzo ułatwiają ocenę świata i innych ludzi, jednakże uniemożliwiają zmianę poglądów. Stąd rodzą się nieporozumienia. **Czasami pojawiają się problemy w większych miastach** – powiedział **Bartek Stranz** z Gdańska, mieszkający obecnie w rezerwacie Czarnych Stóp w Montanie – *gdy się jedzie na zakupy, na przykład do Great Falls (...). Indian traktuje się z lekką pogardą, obsługuje mnie uprzejmie, patrzy się na ręce. Działa to na tej zasadzie, że raz jeden Indianin był pijany albo coś ukradł, a opinia rozciąga się na wszystkich. Tak jest wszędzie. Zawsze znajdzie się jakiś degenerat. W Chica-*





go czy Detroit mówi się, że każdy Polak chleje na umór. To jest na tej samej zasadzie.⁶¹

Indianom często zarzuca się, że nie chcą pracować, są leniwi i wolą żyć z zasiłku rządowego, a więc na koszt podatników (w rezerwach bezrobocie wynosi 20–90%), nie bierze się jednak pod uwagę, że kultury indiańskie, zwłaszcza te z Wielkich Równin, zostały złamane przez zamknięcie koczowniczych plemion w niewielkich rezerwach. Od Indian oczekuje się inicjatywy ekonomicznej, ale według standardu białej Ameryki, nie uwzględniając specyfiki ich dawnej kultury.

Na zakończenie tego artykułu kilka słów o stosunkach między samymi tubylcami. Trzeba pamiętać, że termin „Indianie” nie oznacza jednego, jednolitego narodu. Ocenia się, że w chwili przybycia Kolumba w Ameryce Północnej istniało około tysiąca różnych kultur, których przedstawiciele posługiwali się odmiennymi językami. Niektóre plemiona były ze sobą spokrewnione, niektóre nie, wręcz przeciwnie – cechowała je wrogość. W walce o lepsze terytoria łowieckie, a później – pod wpływem naporu białych ze wschodu – w ogóle o miejsce do życia, plemiona często ze sobą walczyły. Jak dowodzą historycy, walki te nie miały charakteru ludobójczego, nastawionego na całkowitą zagładę danej nacji. Wojny były okrutne, ale przeważnie zabijano tylko wojowników, mężczyzn, zaś kobiety i dzieci uprowadzano i adoptowano, aby w ten sposób podnieść liczebność własnego plemienia. Taki los spotkał, na przykład, małe plemię Erie, które zostało rozbite przez Irokezów. Zniszczono wszystkie ich wioski, ale mieszkańcy rozproszyli się po sąsiednich plemionach. Odkrywamy tutaj cechę charakterystyczną honoru indiańskiego wojownika: mszczenie

się na pokonanym, bezbronnym przeciwniku nikomu nie przynosi sławy. Jest wręcz przejawem słabości.

Dziś Indianie posługują się prawie wyłącznie językiem angielskim. Można dostrzec wielkie różnice w poziomie życia tubylców w poszczególnych rezerwach, np. ubogi rezerwat Pine Ridge w Dakocie Południowej i prosperujący świetnie rezerwat Flathead w Montanie. Odżywają też dawne waśnie plemienne, choć w mocno zredukowanym kształcie. Przybierają one najczęściej formę rywalizacji podczas tańców na pow wow (międzyplemienny festiwal pieśni i tańców) czy zmagania się drużyn na rodeo.

Tubylcze kultury cechowała zawsze wielka ciekawość świata, otwartość i umiejętność wchłaniania elementów obcych, zapożyczonych. To właśnie kazało im podzielić się pożywieniem z pierwszymi osadnikami, dać im kawałek ziemi na zbudowanie własnego domu – jak w opowieści otwierającej ten artykuł. Bez dialogu i współpracy niemożliwe jest nawiązywanie dobrych stosunków międzysąsiedzkich. Indiańska filozofia powiada, że wszyscy należymy do tej samej Ziemi, że każda istota ma swe miejsce w wielkim kręgu życia, że wszystko jest ze sobą spokrewnione i wszystko ma prawo do życia w harmonii z Ziemią i ludźmi. ■

Autor artykułu jest wydawcą „Pisma Przyjaciół Indian TAWACIN”.



⁶¹ Joseph Bruchac „Zakorzenienni jak jesiony: Abenakowie i ziemia”, w: „Należymy do Ziemi, Ziemia nie należy do nas”; oprac. M. Maciołek, „Biblioteka Tawacinu” nr 12, Poznań 1987, s. 22.

⁶² Cyt. za: Dee Brown „Pochowaj me serce w Wounded Knee”, przeł. J. D. Brenner, M. Brenner i E. Jarzębska; Warszawa 1981, s. 15.

⁶³ Janusz Tazbir „Rzeczpospolita szlachecka wobec wielkich odkryć”; Warszawa 1973, s. 48.

⁶⁴ Zofia Mitosek „Literatura i stereotypy”; Wrocław 1974, s. 11.

⁶⁵ Cyt. za: Krzysztof Kwaśniewski „Zderzenie kultur. Tożsamość a aspekty konfliktów i tolerancji”; Warszawa 1982, s. 280.

⁶⁶ „Pytać, aby się doskonalić”, rozmowa z Bartkiem Stranzem „Źródło”, mieszkańcem rezerwatu Czarnych Stóp w Montanie; „Tawacin” nr 1(37), wiosna 1997, s. 17.

